

Zakłęte skrzypki Szymka Flisaka

Jakub Gąsiorek, dozorca starego Żurawia nad Motławą, miał córkę Brygidkę. Nie było w Gdańsku piękniejszej od niej dziewczyny. Każdy, kto ją zobaczył, nie potrafił już zapomnieć jej twarzy jasnej jak bałtycki brzask, jej rąk białych i lotnych niby mewy unoszące się nad zieloną rzeką. Kochali się w niej robotnicy, którzy obracając pod kierunkiem Gąsiorka ogromne koła żurawowego dźwigu, podnosili maszty i wyładowywali towary z okrętów, komięg¹ i skut². Kochali się w niej królewscy kaprowie, żeglarze zamorscy i gdańscy kupcy. Podobno nawet ogromny sum, mieszkający pod Zielonym Mostem, wynurzał nad powierzchnię wody oślizły łeb i ruszał rudymi wąsami, ilekroć przechodziła Długim Pobrzeżem.

Ale Brygidka była nieczuła na te wszystkie hołdy i odrzucała każde oświadczenia.

- Pewnie czeka, aż sam burmistrz jegomość pośle do niej swatów!
- zrzędziła przekupka Katarzyna sprzedająca flądry, łososie, dorsze i śledzie na Rybim Targu, na który rzucała błękitny cień ceglana baszta zwana Łabędziem.

- A ja ci powiadam - brała się pod boki Barbara, kuma i sąsiadka matki Katarzyny - że i burmistrz dostałby u niej czarną polewkę!

- Na kogo więc czeka?

- Chyba na królewicza z bajki.

Zdawało się, że rację miała pyskata Barbara, bo niebawem i sam burmistrz został odprawiony z kwitkiem. Brygidka gospodarzyła

¹ komięga - statek używany do transportu wiślanego

² szkuta - statek używany w żegludze rzecznej

ojcu i co wieczór podlewała kwiatki w okienku pod słonecznym zegarem, na starym Żurawiu. Na próżno uśmiechali się do niej szlachcice w czerwonych żupanach, którzy przywozili skutami do Gdańska swoje zboże, na próżno wzdychali do niej kupcy w bogatych cudzoziemskich strojach i zbrojni rycerze morscy króla jegomości. Na próżno nucili pod jej oknem rzewne piosenki miejscy muzykanci i wędrowni śpiewacy. Pewnego jednak wieczoru, kiedy ucichło szczekanie psów prowadzonych ulicą Ogarną i Krowim Mostem na Wyspę Spichrzów, której miały nocą strzec przed złodziejami, pod Żurawiem zagrały lipowe skrzypki i jakiś dźwięczny głos zanucił:

Miałem ci ja, miałem
gospodarstwo hojne:
cztery koty do roboty
i dwie myszy dojne.
Miałem dwa psy stare,
cztery szare koty
do młócenia, do zwożenia,
do każdej roboty.

Inna to była piosenka niż te, które zazwyczaj śpiewano pod oknem pięknej Gąsiorkówny, toteż zaciekawiona Brygidka wychyliła jasną główkę, by zobaczyć, kto to nuci na Długim Pobrzeżu.

Nad Motławą zaczynały już snuć się wieczorne mgiełki i przesłaniać białe mury i czarne belki spichrzów przeglądających się w wodzie. Na portowym pomoście zaś, oparty o spróchniały pał, stał młody chłopak w białej sukmanie. Czerwoną magierkę zsunął zawadiacko na tył głowy, przyciskał do szyi lipowe skrzypki i ciął smyczkiem po strunach, aż dźwięki przyskały jak srebrne iskry.

– Wiesz, kto to jest ten grajek? – zapytał stary Jakub, którego siwy łeb ukazał się w okienku obok jasnowłosej głowy córki.

– Pierwszy raz go widzę.